

# Teatr intymny

Z ANNA AUGUSTYNOWICZ, dyrektorem artystycznym  
Teatru Współczesnego w Szczecinie, rozmawia  
WALDEMAR CIEŚLAK

— Bogusław Kierec, przekazując w Pani ręce kierownictwo artystyczne Współczesnego, nie ukrywał nadziei na kontynuację autorskiego profilu repertuarowego tej sceny. Twórcza samodzielność wyklucza jednak naśladowictwo cudzych, choćby najdoskonalszych, koncepcji i pomysłów. W jaki sposób zamierza Pani w takiej sytuacji zachować ciągłość dotychczasowego oblicza teatru?

— Wydaje mi się, że podobnie — jak Bogusław Kierec — pojmuję misję, jaką spełniać powinien teatr — ostatnie dziś miejsce obrony podstawowych wartości. W sztuce najważniejszy jest dla mnie człowiek z jego emocjami i prostymi uczuciami — miłością, nienawiścią, bólem i cierpieniem. Podstawowym zadaniem teatru jest pokazanie na scenie prawdziwych wiązań, powstających między ludźmi. Sztuka teatru to szczególnie umiejętność objaśniania świata. Niezależnie od tego, jaki on jest. To także zdolność do mówienia prawdy o kondycji człowieka współczesnego. Dlatego prowadzony przez mnie teatr musi być i będzie w dalszym ciągu miejscem afirmacji człowieka. Oczywiście, różnica temperamentu, czy po prostu inna sfera zainteresowań, nie pozwalają mi kontynuować, realizowanego od dwóch lat nurtu tzw. „rekopisów”. Nie oznacza to, że rezygnuję z form kameralnych. Przeciwnie — chciałabym nawet ukształtować taki model teatru, który bliski byłby zaczerpniętemu wprost z „Panny Julli” Strindberga określeniu: teatr intymny.

— Warunki Teatru Współczesnego nie sprzyjają chyba takim prezentacjom?

— Ten problem udało się już rozwiązać. Pracownia plastyczna, po niewielkich zabiegach adaptacyjnych, co wieczór będzie przeobrażać się w „Scenę w Malarni”. Rozpoczęły się już próby do „Dwustronnego lustra” Arthura Millera, które w tej wymarzonej dla teatru scenerii inscenizują: Piotr Jędrzejczak — reżyser i Ryszard Kaja — scenograf. Premiery, inaugurującej działalność „Sceny w Malarni” spodziewać się więc możemy niebawem.

— Tymczasem tegoroczny sezon otwierają, prezentowane na dużej scenie, wznowienia „Zemsty” i „Kopciuszka”. Na nowości repertuarowe będziemy musieli jeszcze poczekać?

— Pierwszą premierę sezonu planujemy w drugiej połowie października. Będzie to „Maciej Korbowa i Bellatrix” Witkacego, w mojej reżyserii i z muzyką Jacka Ostaszewskiego. Scenografię przygotowuje Jan Banucha, który opracuje plastycznie również kolejne przedstawienie — „Drużyna śmierci Joanny d'Arc” Stefana Cannea, w reżyserii Waldemara Modestowicza. Tak wyglądają najbliższe, „twarde” plany repertuarowe. Reszta jest sprawą przypadku, w którego się artystyczna wciąż jeszcze wierzę. Kryje się w tym pewne ryzyko, ale też przeważnie w ten sposób powstają najwartościowsze dzieła sztuki. Być może, w przyszłości zrealizuję pewne plany „szekspirowskie”, ale wszystko zależy od tego, ile naprawdę energii znajduję w sobie i zespole. Ostatnio, na przykład, okazało się, że do wystawienia „Peer Gynta” Henryka Ibsena, energii tej nie starczyło.

— Jak ocenia Pani zespół Teatru Współczesnego?



— Grupa aktorów, związanych z tym teatrem, ma w sobie walor najcenniejszy — umiejętność wspólnego brzmienia na scenie oraz niezbędną dyscyplinę artystyczną podczas pracy. Jest to, moim zdaniem, bardzo sprężysty zespół, podatny na burze twórcze i uczciwy w robocie.

— Na jakiego widza oczekiwać będzie teatr Anny Augustynowicz?

— Bardzo nie lubię dzielić ludzi i przyczepiać widzom etykiety. Na pewno jednak chciałabym spotkać w naszym teatrze człowieka ciekawego świata, aktywnie nastawionego do życia, gotowego chłonąć najbardziej nawet szokujące propozycje artystyczne. Zależy mi przede wszystkim na tych, którzy nie są do końca pewni, jak powinien wyglądać porządek świata, potrafią jeszcze szukać własnej drogi nie tylko przez intelekt, ale też przez obraz, wzajemną wymianę energii i emocje, które znaleźć mogą w teatrze. Jeśli uda się nam wspólnie przejść tę drogę będzie to najwięcej sukcesu.

— Dziękuję za rozmowę.